

# Sumienie a prawda i wolność

*W dniach od 21—23 września 1982 roku odbywały się na KUL-u wykłady uniwersyteckie dla duchowieństwa na temat: „Sumienie prawe u podstaw życia narodu”. Poniższy tekst jest jednym z wygłoszonych wówczas referatów.*

1. Zaczniemy od tytułu całego tegorocznego cyklu wykładów „Sumienie prawe u podstaw życia narodu”. Wiele w tym tytule powiedziano. Nietrudno min. dostrzec zawartą w nim tezę, którą wyrazić można, jak sądzę, następująco: „Bez sumienia prawego (tj. bez możliwie powszechnego wysiłku usłyszenia jego głosu i usłuchania go) naród umiera”. Twierdzenie to przeciwstawia się opinii, według której o życiu narodu decydują przede wszystkim czynniki poniekąd zewnętrzne i moralnie obojętne: niezawisłość polityczna państwa organizującego życie narodu, gospodarcza samowystarczalność tego państwa, warunki sprzyjające umocnieniu wspólnoty kulturowej wyrażającej się szczególnie przez jedność języka itp. Przeciwstawienie się tej opinii, ma szczególnie drastyczną wymowę dziś w Polsce. Hasło tegorocznych wykładów rozumieć można jako ostrzeżenie, a zarazem wyraz trudnej nadziei: chociaż zostaliśmy ciężko doświadczeni, wciągnięci w wir smutnych wydarzeń, w których nasz naród jest podzielony, i to — jak podejrzewamy — nie bez wydatnego wpływu innych państw; chociaż nasza sytuacja gospodarcza jest fatalna i nic nie wróży rychłej poprawy, chociaż od paru już lat napomyka się o zagrożeniu naszego samodzielnego bytu politycznego — tym niemniej nie te trudności najpoważniej zagrażają życiu narodu. Polak, bardziej może niż kto inny, ma prawo twierdzić, że tego typu nieszczęścia nie muszą zniszczyć narodu (co nie zmienia faktu, że są to nieszczęścia doprawdy niemałe). Ostatecznie życie narodu — w tym także zdolność do samodzielnej politycznej, gospodarczej i kulturowej egzystencji — zależy od postawy jego przedstawicieli; los nasz koniec końców leży więc w naszych rękach. Co prawda, wspomniane zagrożenia niosą z sobą silną pokusę demoralizacji, odejścia od prawości, jednakże nikt mnie nie może zdemoralizować bez mojego w tym udziału. Żadne zewnętrzne siły nie są w stanie odebrać człowiekowi tego, co leży u podstaw jego ludzkiego życia i to zarówno w wymiarze indywidualnym, jak społecznym. Powinniśmy więc skupić wysiłki — w ich ramach w niemałym stopniu wysiłki

duszpasterskie — na tym, by nie dać się złamać w tym podstawowym punkcie, w którym złamanie jest zawsze również samozłamaniem, zdradą czegoś istotnego w sobie i w narodzie.

Tak rozumiem temat tegorocznych wykładów i z takim jego rozumieniem — mam nadzieję, że trafnie, choć dość pobieżnie odczytanym — solidaryzuję się w pełni. Zacząłem od tych „tytułowych” rozważań, ponieważ to, co dalej chcę powiedzieć, stanowić ma wprowadzenie do — oby jak najtrafniejszych — odpowiedzi na pytanie: „Jak odbudować, ustrzec i ugruntować prawe sumienie w naszym narodzie?”

Jednym z warunków uzyskania takich odpowiedzi jest uświadomienie sobie, o czym myślimy mówiąc o sumieniu. Jeden referat nie może, oczywiście, podjąć i rozwiązać wszystkich kwestii wynikających z wieloznaczności sumienia (wprost proporcjonalnej do popularności tego terminu), a także z różnorodnych jego powiązań z naturą człowieka i jego życiem. Celowe jednak wydaje się sformułowanie, a raczej przypomnienie, tej koncepcji sumienia, która — jak sądzę — zawarta jest w tytule tegorocznych wykładów. Będzie mowa przede wszystkim o sumieniu w wymiarze indywidualnym, na tym bowiem dosłownym znaczeniu opierać się muszą inne, analogiczne sposoby jego użycia (m.in. „sumienie narodu”). Także sens wyrażenia „sumienie prawe” odnaleźć trzeba najpierw na tamtym, podstawowym gruncie. Dopiero pod koniec referatu spróbuję krótko odnieść jego konkluzje do wymiaru narodowego, zresztą głęboko związanego z indywidualnym.

Jak w tytule tegorocznych wykładów odczytać można, co starałem się wstępnie pokazać, określone stanowisko, podobnie też ma się rzecz z tytułem niniejszego referatu. „Sumienie a prawda i wolność”; chcę przez to powiedzieć, że dla uchwycenia istoty sumienia trzeba je ukazać przez podwójne jego odniesienie: do prawdy i wolności. Mówiąc dokładniej nieco, postaram się poniżej rozwinąć pogląd, iż sumienie jest głosem-sądem-świadkiem prawdy o człowieku, domagającym się odeń jej uznania pod groźbą samozatraty. Choć jawi się nam ono jako nakazodawca wiążący wolność, w istocie wyzwala ją od wielorakiej, zgubnej dla człowieka, niewoli. Próby zagłuszenia tego głosu prawdy w imię rzekomej wolności prowadzą do istotnego znieprawienia człowieka, a przez to do umierania tego, co w nim najgłębiej ludzkie, a w pewnej interpretacji nawet Boskie.

2. Skoro termin „sumienie” używany jest nie tylko przez fachowców różnych dziedzin, ale — bodaj częściej — w mowie potocznej, z którą wszelkie teoretycznie zaawansowane interpretacje muszą się liczyć, zacznijmy nie od teorii i definicji sumienia, których jest wiele, lecz od przykładu, w którym sumienie daje o sobie znać.

W małej, ale pięknej książeczce, zatytułowanej *Droga człowieka*

(*The Way of Man*, New Jersey 1966), opowiada Martin Buber, jak to pewien rabin, Sznur Zalman, żyjący na przełomie XVIII i XIX wieku w północnej Białorusi, znalazł się w areszcie, gdzie pilnujący go żandarm skracał sobie czas rozmową z nim na tematy biblijne. M.in. zapytał rabina, jak rozumieć fakt, że Bóg — wszechwiedzący przecież — pytał w raju Adama „gdzie jesteś?” Odpowiedź rabina brzmiała: Bóg nie dlatego pytał, że nie wiedział; On chciał, by Adam sam sobie na to pytanie odpowiedział. To Adam uczynił coś, co sprawiło, iż znalazł się nie tam, gdzie być powinien. To Adam, po tym co zrobił, ukrył się i bał się spojrzeć na siebie w całej swej nowej i niewesołej sytuacji.

Choć nie pada słowo „sumienie”, to jednak czujemy, że scena dialogu Boga z Adamem odkrywa dogłębnie jego naturę. Ujawnia się nam ono jako głos; głos, który chrześcijanie, żydzi, a zapewne także przedstawiciele wielu innych religii nie bez racji skłonni są interpretować jako głos Boga, ale który znany jest także ateistom; głos, który najpierw jest pytaniem: „Gdzie jesteś? coś zrobił? jak się ma to, co uczyniłeś, do tego, kim jesteś? co się stało w tobie i z tobą wskutek tego, co zrobiłeś?” Głos, który adresowany jest tylko do mnie, osobiście i po imieniu, a który zarazem dochodzi do mnie jakby z góry i spoza mnie. Pytanie „gdzie jesteś?” zawiera w sobie silny ładunek normatywny: nie o beznamietną relację o stanie człowieka-sprawcy swych czynów przecież chodzi, lecz o uświadomienie sobie dystansu między miejscem, w którym jestem, a miejscem, w którym być powinienem; między tym, kim jestem, a tym, kim powinienem być. Pytanie to każe człowiekowi szukać drogi prowadzącej od jednego punktu do drugiego. Im dalej odbiegł człowiek od „swojego”, właściwego mu miejsca, tym ten powrót-nawrócenie jest trudniejszy. Nawrócenie to jest zresztą czymś więcej niż prostym powrotem do zgubionego położenia właściwego; wyznacza — niekiedy na bardzo długo — nową drogę osiągnięcia czegoś, co uprzednio było „naturalnym” sposobem życia. Dla Adama i Ewy konsekwencją ich czynu było opuszczenie raju i wejście na szlak naznaczony wysiłkiem, bólem i śmiercią. Ten bowiem trudny los był proporcjonalny do stanu, w jakim się wskutek swego grzechu znaleźli. Sumienie okazuje się więc tym głosem, który odkrywa człowiekowi *n o r m a t y w n ą p r a w d ę o n i m s a m y m* i nakazuje mu postępowanie „prawdziwe”, tj. proporcjonalne do uświadomienia sobie tego, co zrobił i kim w związku z tym jest. W opisie biblijnym ten sam Boży głos najpierw pyta Adama, gdzie jest i co uczynił, następnie zaś formułuje surowy nakaz będący konsekwencją Adamowej odpowiedzi. Sądzę, że i w tym punkcie opis ten wiernie oddaje nasz dialog z własnym sumieniem, które nie tylko dopomina się od swego podmiotu, by poznał prawdę o sobie, ale i domaga się postępowania na miarę poznanej prawdy. W gruncie rzeczy

tamto pytanie wydaje się tylko wprowadzeniem do właściwej funkcji sumienia: osądu podmiotu i wynikającego stąd określonego nakazu.

A przecież bez tamtego pytania osąd ten i nakaz są niemożliwe. Czy to dziwne, że człowiek wolałby go nie słyszeć, by nie musieć usłuchać normatywnej konkluzji własnej na nie odpowiedzi? Opór człowieka, jego pokusa ukrycia się przed pytaniem „gdzie jesteś?” dobitnie pokazuje, że choć sumienie domaga się od człowieka poznania prawdy o nim samym, to jednak „głównym adresatem” tego głosu jest wolna wola podmiotu. To ona jest przez sumienie wzywana do działania i to nierzadko takiego, którego człowiek wolałby nie musieć podejmować. Wezwanie sumienia jest wezwaniem do tego, by człowiek chciał wiedzieć, by wolę swą otworzył na prawdę. Od odpowiedzi na to wezwanie zależy potem wszystko, cała prawość bądź nieprawość człowieka, całe jego — znów w normatywnym sensie — człowieczeństwo. Dlatego tutaj interesować nas będzie przede wszystkim to pytanie, w reakcji na które człowiek dalej kształtuje swe sumienie, w końcu zaś samego siebie. O tej podstawowej „warstwie sumienia” tak pisze Kazimierz Brandys w książce *Rynek* (Warszawa 1972): „Przeciętna świadomość przeciętnego człowieka, który nie potrafi dowiadywać się o faktach, który nie chce poznawać rzeczywistości i zadowala się przeciętnymi, obiegowymi prawdami, i żyje w tej swojej małej wiedzy — jak w norze — tu źródło naszych najohydniejszych klęsk. Nieszczęśni, którzy nie umieją wiedzieć, i potępieni, którzy nie chcą. Odkryję każdą zbrodnię dokonaną przez świat bez mojej wiedzy, pod warunkiem, że przyznam się przed sobą do chęci niewiedzenia o tym” (s. 60).

Niepokój Brandysa, jak wynika to z kontekstu przytoczonego cytatu, wiąże się z nieumiejętnością bądź niechęcią nabycia wiedzy, która mówi o nieszczęściu nie moim. Czy nie nazbyt pochopnie uznaliśmy więc, iż sumienie domaga się od swego podmiotu otwarcia na prawdę o sobie? Skoro zinterpretowaliśmy rozmowę Adama z Bogiem jako dialog człowieka z własnym sumieniem, czy nie podobny charakter ma rozmowa Boga z Kainem? Ścisłej mówiąc, Księga Rodzaju notuje dwukrotnie wezwanie Boże skierowane do Kaina: jedno przed morderstwem („Grzech waruje u twych stóp i łąsi się do ciebie, a przecież ty masz nad nim panować”), drugie po jego dokonaniu („Gdzie jest brat twój, Abel?”, Rdz 4, 7; 4, 9). Pierwsze słowa Boga jak gdyby przypominają, że sumienie odzywa się nie tylko po czynie (zwłaszcza złym), ale i przed jego dokonaniem; tradycja tomistyczna mówi dlatego o sumieniu przed- i pouczynkowym. (Zauważmy jednak nawiasem, że nawet w przypadku tzw. sumienia pouczynkowego jego aktywność nie ogranicza się do oceny dokonanego czynu, ale konkluzją tej oceny jest imperatyw odnoszący się do przyszłości; w pewnym sensie więc każdy głos sumienia ma charakter

przeduczynkowy, z tą różnicą tylko, że jego struktura jest bardziej złożona, gdy zostało „sprowokowane do działania” dokonaniem złego czynu.) Pytanie Boga zadane Kainowi bardzo przypomina tamto z raju: „Gdzie jesteś?” — „Gdzie jest brat twój, Abel?” Adam został wezwany do poznania prawdy o sobie, Kain — prawdy o swym bracie. Jeśli interpretować nadal głos Boży jako głos sumienia, to scena z Kainem pokazuje, iż stoi ono nie tylko na straży prawdy o podmiocie działania, ale prawdy o człowieku po prostu. O człowieku, który — jedyny na Ziemi — uczyniony został na obraz i podobieństwo Stwórcy. Jak Bóg domaga się od wszelkiego stworzenia czci i zasługuje na nią z racji swego Bóstwa, tak i człowiek — według słów *Konstytucji Dogmatycznej o Kościele* „jedynie na Ziemi stworzenie, którego Bóg chciał dla niego samego” (24) — ma prawo żądać od innych osób afirmacji z tytułu tego, kim jest. Należy on — jak powiada Kant — do „królestwa celów”. Zignorowanie tego, sprowadzenie go do „królestwa środków”, wyrządzenie krzywdy człowiekowi jest więc wielkim złem, stanowi obelgę rzuconą w twarz Temu, na którego obraz został on uczyniony: „Krew twego brata głośno woła ku mnie z ziemi!” (Rdz 4, 10).

A jednak inaczej pyta sumienie o Abła, inaczej zaś o mnie samego. Jeśli pyta o Abła, to pyta w kontekście moich czynów i jeżeli popełniłem względem Abła grzech, to piętno po nim na mnie pozostaje i jest to inny rodzaj zła, niż ten który wyrządziłem Ablowi. Jakiś gorszy rodzaj. Chociaż krzywda Abła jest oczywiście wielka i nieodwracalna, to jednak stan Kaina po jego grzechu zdaje się bardziej opłakany niż stan jego ofiary. Powiada Kain: „Zbyt wielka jest kara, abym mógł ją znieść. Skoro mnie teraz wypędzasz z tej roli, i mam się ukrywać przed tobą, i być tułaczem i zbiegiem na ziemi, każdy kto mnie spotka, będzie mógł mnie zabić. Ale Jahwe mu odpowiedział: O nie! Ktokolwiek by zabił Kaina, siedmiokrotną pomstę poniesie” (Rdz 4, 13—15). To tak, jakby nie dość było zostać zabitym za zabicie brata; jakby morderstwo, czyniące człowieka mordercą sprawiało w nim większe zło, niemożliwe do wymazania aktem prostego odwetu. Nie dziwi nas, raczej podziw wzbudza, gdy ktoś — jak Otto Schimek — woli dać się zabić niż zabijać. Więc choć sumienie dopomina się o respekt należny każdej osobie, jaka zjawi się w polu mojego działania, to jednak tym, o którego godność i „twarz” szczególnie zabiega, jestem ja sam. Wprawdzie morderstwo nie dlatego przede wszystkim jest złe, że upadła jego sprawcę, a jednak sumienie jako wierny świadek prawdy o człowieku świadczy o tym, iż piętno zła, jakim naznaczony zostaje morderca, sięga głębiej niż krzywda zamordowanego. W tym sensie sumienie pozostaje przede wszystkim świadkiem prawdy człowieka o nim samym. Pytanie „gdzie jesteś?” nie znika także wtedy, gdy pojawia się pytanie „gdzie jest brat twój,

Abel?"; raczej leży u jego podstaw i naznacza je przejmującym, osobistym piętnem.

Odwoływanie się do obrazów biblijnych, odczytywanie w głosie Boga głosu sumienia sugerować może, iż sumienie jest poznawczo dostępne jedynie w kontekście wiary religijnej, w szczególności judeo-chrześcijańskiej. Nie sądzę, by to było prawdą. Wszak już Sokrates twierdził, że lepiej być mordowanym niż mordować, a w *Obronie* powołuje się na swój „zwyczajny, wieszczy głos”, który „sprzeciwiał mu się w drobnostkach nawet, ilekroć miał zrobić coś nie jak należy”, Owidiusz także musiał znać natarczywe wezwania sumienia, którym w słabości ludzkiej nie mógł sprostać, skoro wołał: *video meliora proboque, deteriora sequor*. A nasz rodzimy etyk-ateista Tadeusz Kotarbiński nie bez powodów zatytułował jedną ze swych książek *Sprawy sumienia*. Przykłady można by mnożyć. Jeśli jednak odwołuję się głównie do Księgi Rodzaju, to dlatego iż zawartą tam koncepcję człowieka — a zatem i sumienia — uważam za prawdziwą, zaś przypominane tu sceny dialogu Boga z Adamem i Kainem za szczególnie trafnie i głęboko obrazujące, czym jest sumienie.

Zanim przystąpimy do dalszych rozważań, spróbujmy podsumować dotychczasowe spostrzeżenia:

Sumienie wydaje się głosem nawołującym człowieka — jego podmiot — do poznania prawdy o sobie; tej prawdy — nazwalibyśmy ją normatywną — która ukazuje stosunek dokonanych bądź mających się dokonać czynów do tego, kim człowiek być powinien. U podstaw tej normatywności leży przekonanie o wielkiej wartości (godności) człowieka; zarówno tego, którego dobro przez działanie podmiotu jest zagrożone bądź już naruszone, jak i samego podmiotu, który wskutek złego czynu doznaje głębszego jeszcze uszczerbku. Toteż konkluzją takiego poznania prawdy o człowieku jest żądanie jej uznania przez odpowiednie postępowanie. Zarówno wtedy gdy dopomina się o otwarcie człowieka na prawdę o sobie, jak i potem, gdy dokonuje osądu jego czynu i formułuje dobitny nakaz określonego działania, sumienie okazuje się „rozpięte” między prawdą, o jakiej chce świadczyć, a wolnością, którą wzywa do respektowania tej prawdy. W dalszym ciągu naszych rozważań trzeba trochę bliżej przyjrzeć się temu podwójnemu odniesieniu sumienia do człowieka.

3. Wezwanie, by „chcieć wiedzieć”, sugeruje, że poznanie prawdy o swym czynie i przezeń o sobie samym nie jest łatwie i wymaga wysiłku przełamania niechęci nabycia tej szczególnej wiedzy. Ale czy każda niewiedza w tej materii wynika z owej niechęci?

Oczywiście, nie. Banalne wręcz jest stwierdzenie, że na poglądy człowieka, wrażliwość jego sumienia, postawę moralną etc. wydatny wpływ mają odziedziczone cechy charakteru oraz środowisko, w ja-

kim przychodzi na świat i wzrasta. Łatwiej dostrzeże i zrozumie głodnego ten, kto sam bywał głodny; zdolnemu, ale adorowanemu w dzieciństwie jedyńakowi trudniej będzie później znaleźć wspólny język z rówieśnikami, a także dostrzec i uznać własne wady itd. Co-raz pełniejsze rozumienie siebie i świata jest złożonym procesem, trwającym całe życie. Nieuniknioną wręcz jest rzeczą, że człowiek w dobrej wierze błędnie niekiedy widzi zarówno swój czyn, jaki i siebie samego. Błąd może więc być niezawiniony, choć nie przestaje być błędem powodującym jakąś szkodę. Dopóki jednak człowiek o tym nie wie, dopóty nie ponosi z tego powodu moralnego uszczerbku. Abelard powiedziałby o nim *nocens sed innocens*. Brzmi to dość pocieszająco; uświadomienie sobie zależności swej postawy moralnej od czynników zewnętrznych względem własnej woli musi przecież budzić podejrzliwość wobec każdego stanu świadomości moralnej. Na szczęście jednak nieświadoma niewiedza nie niszczy podstawowej dobroci moralnej człowieka.

Z czasem wszakże nabywa on coraz to nowych doświadczeń, korygujących jego dotychczasowe poglądy. Powiadamy: „dojrzeć moralnie”, i w określeniu tym słowo „dojrzeć” zachowuje swą szczęśliwą dwuznaczność. „Dojrzeć” może bowiem znaczyć „dostrzec” bądź też „stać się dorosłym”. Otóż w dziedzinie moralnej (i nie tylko w niej zresztą) człowiek staje się dorosłym (dojrzałym) przez to właśnie, że coraz więcej widzi (potrafi dojrzeć). Niekiedy to dojrzewanie nie wymaga od niego jakiejś szczególnej ofiary, a mimo to przeżywane jest niemile. Każde uznanie swego błędu jest przyznaniem się do własnej ułomności, co czasem w świadomości podmiotu oznacza „skazę” na dotychczasowym obrazie siebie samego i w tym sensie łączy się z upokorzeniem. Ponadto poglądy moralne wiążą się jedne z drugimi, toteż odkrycie w jednym miejscu prawdy dotąd zakrytej nakazuje wyciągnąć wszystkie konsekwencje tego odkrycia. Mąż, który po latach dopiero dostrzegł, że niechcący ranił żonę swym despotycznym charakterem, musi zrewidować pod tym kątem także swój stosunek do dzieci, współpracowników i innych. A wreszcie: łatwiej jest — jak wiadomo — stwierdzić własną wadę lub słabość, niż ją usunąć, do czego człowiek czuje się zobowiązany właśnie i tylko wtedy, gdy sam swój brak w sobie dojrzy. Trudności te, towarzyszące zazwyczaj dojrzewaniu moralnemu, mogą człowieka znacznie w nim hamować.

Cóż dopiero, gdy uznanie prawdy wymaga wielkich ofiar, a jej niedostrzeżenie przynosi namacalne korzyści? Człowiek zaczyna widzieć świat — w tym świat wartości — nie takim, jaki jest, lecz takim, jakim chciałby, aby był: „Wtedy niewiasta spostrzegła, że drzewo to ma owoce dobre do jedzenia, że jest ono rozkoszą dla oczu i że owoce tego drzewa nadają się do zdobycia wiedzy”. Pamiętała o przestrodze Boga, ale za poduszczeniem węża smak tego owocu przeszło-

nił jej wszystko. Zapewne wielu Niemców w 1933 roku rozumiało, na jakich strunach gra Hitler i jaka z tego może wyniknąć symfonia, ale nawiązywał on do tak drogich i wielkich tradycji germańskich, jednoczył tak wielu obywateli Rzeszy, powodował tak szybki wzrost znaczenia pokrzywdzonych traktatem wersalskim Niemiec!... Potem zaś sprzeciwianie się Führerowi stawało się coraz bardziej niebezpieczne, a sukcesy jego były oszałamiające i — zdawało się — nieodwracalne. Ilu Niemców słyszało przed bitwą pod Stalingradem uparte pytanie sumienia „gdzie jesteś?”

Dochodzimy do miejsca, w którym rozstrzyga się kwestia prawości sumienia. Gdy człowiek błądzi w dobrej wierze, nie traci jeszcze swej prawej, nastawionej na prawdę, postawy. Gdy czyni złe, świadom popełnianego zła, sprawa jest bardziej złożona. Jeśli upada ze słabości, upadek jest dlań przykry, bolesny, ale również nie narusza istotnie zasadniczego odniesienia sumienia do prawdy, jeśli w jej imię stara się (chrześcijanin z pomocą Chrystusa) upadek naprawić i więcej nie ulegać słabości. Jeżeli jednak grzechowi towarzyszy świadomość dokonanego zła, ale brak woli i wysiłku poprawy, rzecz staje się groźna; trudno człowiekowi żyć w rozdwojeniu i skoro nie przybliża czynów do przekonania, będzie skłonny dostosowywać przekonania do czynów. Próbuje więc „przesterować” swe sumienie, tak by już mu nic nie wyrzucało, by nie dopytywało się nieustannie, „gdzie jesteś?” Różne są sposoby dokonania takiej operacji. Można nie przyjmować pewnych faktów do wiadomości; kto dzięki łapówkom osiągnął stanowisko, chętnie powtarza, że nie sposób dziś żyć uczciwie, i każdego o nieuczciwość podejrzewa. Można odpowiednio dobierać określenia, by zatrzeć zło; kto chce usprawiedliwić dokonanie sztucznego poronienia, woli je nazwać „zabiegiem usunięcia płodu” (co podkreśla zewnętrzną, techniczną stronę sprawy i brzmi trochę podobnie jak „zabieg usunięcia wrzodu”) niż „zabiciem nie narodzonego dziecka”, nawet wtedy gdy nie umie powiedzieć, na jakiej podstawie wolno odmówić płodowi miana dziecka. Można poddać korekcie własną pamięć; kto nie stanął w obronie przyjaciela, gdy usuwano go niesprawiedliwie z pracy, z czasem coraz wyraźniej przypomina sobie, że przyjaciel ów nader często zachowywał się arogancko, więc w gruncie rzeczy słusznie został wydalony. Można też szukać poparcia innych dobierając sobie do towarzystwa tylko tych, którzy akceptują nasz sposób myślenia i działania.

Tymi i podobnymi metodami stara się człowiek nie tyle zagłuszyć swe sumienie, co raczej je „skanalizować”; sprowadzić do tych dziedzin, w których wygodniej prowadzić z nim pseudodialog. Niekiedy ze zdwojoną wręcz gorliwością usiłujemy go „słuchać” tam, gdzie pozwalamy mu mówić. Czy nie dotykamy tu grzechu i tragedii wielu faryzeuszy? Żadne słowa ani znaki Jezusa nie zdołały przebić ich



mentalności, pełnej przecież „pobożnych” wezwań i argumentów. Wszystko potrafił po swojemu wytłumaczyć, nawet wyrzucenie złych duchów przez Chrystusa. Nie pocieszajmy się więc pochopnie, że sumienia nie da się oszukać; nazbyt wiele świadczy przeciw tej optymistycznej opinii. I nie zapominajmy, że konsekwencją niewidzenia może być piekło: „Panie, kiedyż to widzieliśmy Cię głodnym albo spragnionym, albo przybyszem, albo nagim, kiedy chorym albo w więzieniu i nie usłużyliśmy Tobie?”

Nieprawie więc jest takie sumienie, które kieruje się innym kryterium niż prawda. Najczęściej tym kryterium jest własna korzyść podmiotu, choć dla zwiedzenia własnego sumienia człowiek stara się jej nadać cechy „prawdo-podobne”, tj. podobne do prawdy. Łudzimy się niekiedy, że niewielkiej doznajemy szkody, gdy tylko w jednym przypadku korygujemy swe sumienie. Nie można jednak zapominać, że usprawiedliwianie jakiegokolwiek czynu (jak i jego ocena negatywna) dokonuje się nie inaczej, jak przez powołanie się na ogólniejszą zasadę, która jednak usprawiedliwia nie tylko ten przypadek, na którym nam zależy, ale wszystkie podobne. Kto więc raz chce usprawiedliwić użycie kłamstwa i przemocy dla podtrzymania swej władzy, ten musi aprobować wszelkie podobne kroki. Nadto zaś zasady moralne wiążą się ze sobą, jak już wspomniałem, toteż zafałszowanie jednego ogniwa w siatce naszych przekonań moralnych prowadzi do stopniowego zniekształcenia całej tej siatki.

Zdrada prawdy mści się najdotkliwiej na tym, kto się jej dopuścił. Sumienie zdaje się kępować wolną wolę człowieka, w miejsce możliwości wyboru stawiając kategoryczny nakaz. Nie zapominajmy jednak, po pierwsze, że wola ludzka z natury swej nastawiona jest na dobro, tak więc to nie sumienie dopiero „ogranicza ją” odniesieniem do wartości; po drugie zaś, nie każde dobro jest człowieka godne, a bywają sytuacje, w których wybór istotnie ludzkiego dobra musi pociągać za sobą rezygnację z innych. Człowiek został uczyniony na obraz i podobieństwo Boga, który jest Miłością, toteż nic go tak głęboko nie buduje, jak akty miłości, i nic tak nie niszczy, jak odejścia od niej. Tomasz Merton tak pisze w *Posiewie kontemplacji* (Kraków 1982): „Doskonała wolność duchowa polega na zupełnej niemożności dokonania złego wyboru... Wolność nie polega więc na równych możliwościach dobrego i złego wyboru, ale na doskonałej miłości i przyjęciu tego, co jest rzeczywiście dobre, i doskonałym wstrętem i odrzuceniu tego, co złe” (s. 129—130). To właśnie nieustannie przypomina sumienie. Stając na straży dobra innych osób, jakie znalazły się w kręgu działania podmiotu, troszczy się zarazem przede wszystkim o to, co dla niego najważniejsze: o trwanie i rozwój jego miłości. W sposób kategoryczny, proporcjonalny do wartości zarówno osoby podmiotu, jak i adresata jego działania, wciąga wolę w reali-

zacje celu, który najbardziej jej odpowiada. „Wyzwalając się” z tego nakazu człowiek bynajmniej nie staje się bardziej wolny, raczej poddaje wolę niegodnemu jej celowi. Św. Paweł wymienia tych, „których bogiem jest brzuch”. Nietrudno znaleźć takich, których bogiem jest bogactwo, sława lub władza. Znieprawiając sumienie człowiek jakby „pali mosty” za sobą: niszczy ten jedyny kompas, który mógłby mu wskazać wyjście z niewoli, w jaką wpadł, zatracając otwartość na prawdę o miłości i zamyka się w skorupie fikcji, której fikcyjności nie dostrzega. Aż do perspektywy potępienia... Niepokoi doprawdy z d z i w i e n i e towarzyszące pytaniom niektórych na Sądzie Ostatecznym: „Panie, kiedyż to widzieliśmy Cię głodnym...?” albo „Panie, czy nie prorokowaliśmy mocą Twego imienia?”

Czy proces samoznieprawienia jest nieodwracalny? Nie wiem; wołałbym, żeby taki nie był, choć trudno tu nie wspomnieć o grzechach przeciw Duchowi Świętemu, które nie mogą być odpuszczone. Prośmy Boga Ojca o tegoż Ducha, przeciw któremu obyśmy nigdy nie występowali. I uwierzmy słowom Pana: „Poznacie prawdę, a prawda was wyzwoli”. Choć zdaje się ona właśnie wiązać, krępować wolność, to tylko na pozór; w rzeczywistości właśnie prawda akceptowana sercem i czynem czyni człowieka wolnym.

4. Apel ostatni chciałoby się odnieść do naszego narodu, jak i całe dotychczasowe rozważania zresztą. Podstawowe prawdy dotyczące sumienia pojedynczego człowieka zdają się ważne także w odniesieniu do takiego podmiotu moralnego, jakim jest naród: Nie miejsce tu na zbyt szczegółową aplikację zarysowanej wyżej koncepcji sumienia do narodu; brak mi do tego kompetencji i czasu. W pewnym sensie temat ten zresztą będzie nam towarzyszył w ciągu rozpoczynających się wykładów, dyskusji i rozmyślań duszpasterskich, a ich celem jest raczej inspirowanie naszych głów i serc, niż definitywne rozwiązywanie trudnych problemów, przed jakimi w związku z sumieniem narodu i jego prawością dziś w Polsce stajemy. Niech wystarczą więc dwie konkluzje dotychczasowych naszych rozważań:

a) Jak w przypadku indywidualnego dialogu z sumieniem, tak też jest z sumieniem narodu: najpierw powinniśmy usłyszeć i podjąć podstawowe pytanie: „gdzie jesteśmy?”, z całym jego normatywnym ładunkiem i gotowością wyciągnięcia najtrudniejszych nawet wniosków poznanej prawdy. Pytanie to skierujemy do nas, bo to o nasze narodowe sumienie chodzi. To prawda, że naród nasz jest dziś zgnębiony, że Polacy cierpią w znacznej mierze nie z własnej winy. Jednakże niedobłą jest rzeczą bić się w cudze piersi i na innych zrzucać całą odpowiedzialność za nasze niewesołe położenie. Przypomnijmy sobie, że i niewola izraelska nie doszłaby do skutku bez ingerencji obcych mocarstw, a jednak prorocy stale podkreślali, iż głów-

ną winę za nieszczęścia ponosi sam Izrael i że od jego nawrócenia zależy poprawa jego losu. Zostawmy więc — zwłaszcza my, duszpasterze — inne narody Sądowni Bożemu i ich narodowemu sumieniu, a zastanówmy się raczej nad tym, co w nas jest chore. Być może, pierwsza choroba na tym właśnie polega, że niechętnie stawiamy sobie pytanie „gdzie jesteśmy?” w moralnym tego pytania sensie. Dumni z Polaka-Papieża, i innego Polaka — laureata nagrody Nobla, przeżywający jeszcze niedawno masowy wybuch tęsknoty za prawdą, sprawiedliwością i wolnością, świadomi, że świat o nas od paru lat mówi, martwimy się bardziej naszą sytuacją ekonomiczną niż moralną. Tymczasem zdaje się, że nic nie wskazuje na to, by ustępowały stare wady narodowe (pijaństwo, rozkład rodziny, przerywanie ciąży, nieuczciwość, kłótniwość etc.) Wiele czynników od nas niezależnych sprzyja tym bolączkom, to prawda; czy jednak podkreślając je nie uciekamy znowu od naszego problemu i nie poddajemy się nazbyt szybko? Dochodzą do tego nowe trudności spowodowane obecną sytuacją: znużone nasze społeczeństwo ogarnia apatia i poczucie beznadziejności, dokonał się i nadal pogłębia podział wśród Polaków, bywa, że wzrastające kłopoty własne powodują zapominanie o trudnościach innych.

Nie chcę powiedzieć, że wszystko w nas jest chore, ani nawet, że wady są coraz liczniejsze i poważniejsze, a zalety topnieją. Obserwujemy przecież także — paradoksalnie — obok wspomnianego rozłam w narodzie silne tendencje jednoczące, głęboką solidarność z cierpiącymi z powodu stanu wojennego, chyba także pogłębienie naszej wiary, ożywienie ideałów wśród młodzieży. Jeśli przypominam — nie siląc się zresztą na kompletność — znane wszystkim nasze bolączki, to po to byśmy nie zamykali oczu na prawdy nas obciążające, bo to byłby pierwszy krok odejścia od prawdy, prowadzący ku nieprawości.

b) Jeśli rzeczywiście sumienie jest głosem wzywającym wolny podmiot do uznania prawdy o sobie, to dwa szczególnie niebezpieczeństwa stłumienia bądź zniekształcenia tego głosu polegają na utrudnieniu lub odcięciu możliwości poznania prawdy oraz na nacisku lub gwałcie wywieranym na wolę. Dwa główne niebezpieczeństwa więc — to k ł a m s t w o i p r z e m o c; uleganie im niszczy sumienie u samych jego korzeni.

Wszyscy wiemy jak w ostatnich miesiącach te właśnie zjawiska rozpanoszyły się w naszym i bez tego biednym kraju. I jako duszpasterze wiemy też, jak łatwo się nimi zarazić, jak łatwo usprawiedliwiać okłamywanie innych i agresję doznany — niekiedy bardzo boleśnie — oszustwem i gwałtem. Samousprawiedliwienie odejścia od prawdy i miłości może się jednak okazać największą naszą klęską w obecnym stanie. Nie jest łatwo nawoływać tych, którzy

bardziej od nas takich krzywd doznali, aby nie odpowiadali przemocą na przemoc, oszczerstwem na oszczerstwo, nienawiścią na nienawiść. A jednak, jeśli na czym polegać ma szczególnie rola duszpasterzy, to chyba na tym, by słowem i przykładem uczyć wierności prawdzie i miłości (co przecież jest innym imieniem wierności Chrystusowi) i w tym duchu kształtować sumienia tych, którzy naszej pieczy są przez Boga powierzeni. Bo to prawda, jak wspomnieliśmy, że człowiek osiąga dojrzałość moralną, gdy sam własnymi oczyma dojrzy dobro i zło, ich korzenie i rozmiary; prawdą jest jednak i to, że można i trzeba to dojrzenie i dojrzewanie ułatwiać. Jak w Izraelu potrzebni byli prorocy, nawet wtedy gdy nie byli słuchani, tak potrzeba nam dziś proroków narodowych na większą i mniejszą, parafialną skalę. I chyba my wszyscy jakoś do tej wielkiej i trudnej funkcji zostaliśmy powołani. Trudniej i przez to, że sami nie jesteśmy wolni od słabości i pokus, w tym także pokusy zarażenia się kłamstwem i przemocą bądź przymknięcia na nie oczu, gdy nas one nie dotyczą. Księża wybaczą, że zjawia się tu element rachunku sumienia duszpasterzy, ale myśląc tylko o błędach i grzechach innych Polaków, sami popełnilibyśmy ten błąd i grzech, o którym poprzednio wspominałem: bicie się w cudze piersi. Powinniśmy więc cierpliwie i uczciwie nawracać siebie samych i innych do wierności prawdzie i uczyć respektu dla wolności ludzkiej; trzeba pokazywać trudną prawdę o tym, że naprawdę wyzwala nas miłość.

Wysiłki nasze nie pozostaną bezowocne, choć trudno nam dziś przewidzieć termin owocobrania. Wierzymy przecież, że Pan nas nie opuści, jak nie opuścił nigdy Izraela, że będzie nas prowadził pod opieką Tej, która dana została narodowi polskiemu ku obronie.

*Andrzej Szostek MIC*